

Dwoistość i zmagania

Nie jest łatwo pisać o człowieku, o którym wiadomo wiele, ale ta wiedza nawet umiejętnie złożona w jeden duży komunikat nie odpowiada na pytanie, jaki ten człowiek naprawdę jest. Są wśród nas ludzie nieustannie wymykający się jednoznacznym osądom. Nie muszą się silić na „ucieczkę”, nie planują swoich ciągłych „dezercji” ze starannie przygotowywanych szufladek, bo przychodzi im to naturalnie, niczym oddychanie. Wśród obserwatorów znajdują się zapewne tacy, których to będzie złościć. Zwolennicy porządku, tego przysłowiowego, niemieckiego „Ordnung muss sein”, albo „szwajcarskiego zegarka”, będą się krzywić i grymasić, narzekać i krytykować. Bo taki człowiek – „za nim nie trafisz” – zawsze jest wyzwaniem, gdzie się nie pojawi staje się generatorem różnorodnych, zwykle twórczych napięć. Odwraca biegi wydarzeń, przesuwają sprzęty, zmienia znaczenia, stawia sprawy na głowie nadając im inny sens, burzy i buduje, drażni, błądzi, gubi i odkrywa. I cóż z nim począć, cóż zrobić z człowiekiem, dla którego nie ma łąty, nie ma szufladki, a tytuł profesji jaką wykonuje stanowi zaledwie skrót myślowy, tylko kierunkowskaz, a nie ostateczną definicję? Można odwrócić wzrok i udać, że go nie ma, licząc że sobie pójdzie, zniknie. Będzie to wyraz bezradności, stanu którego bezwzględnie należy się wystrzegać. Dużo lepsze rozwiązanie stanowi podejście wprost przeciwne – skrupulatna obserwacja. Nawet jeśli nie wszystko można dostrzec i zrozumieć, warto przynajmniej spróbować nadać za tym nieokreślonym, niespokojnym „wolnym elektronem”. Podjąć rękawicę.

O Peterze Gabrieli napisano kilka książek, dziesiątki artykułów, przeprowadzono z nim setki wywiadów, ale żaden z przygotowanych o nim materiałów nie odpowiada na pytanie, jakim jest człowiekiem i artystą. Można mniej lub bardziej szczegółowo opisać jego losy, mniej lub bardziej obiektywnie ocenić dorobek, ale malując literacki portret trzeba zadowolić się stwierdzeniem, że jest człowiekiem pełnym sprzeczności. To i tak wiele, zważywszy, że nie jest łatwo nawet jednoznacznie określić, czy jest osobą „silną” czy „słabą”, odważną czy bojaźliwą. Jeśli jest jakiś klucz otwierający choćby tylko pierwsze, frontowe drzwi zamczyska złożonej osobowości Gabriela, to tym kluczem na pewno jest dwoistość. To ona będzie tłumaczyć fakt, że człowiek, który w rozmowie w cztery oczy z dziennikarzem ledwie mówi, duka, zacina się i unika kontaktu wzrokowego, by kilka godzin później wyjść na scenę i porwać tysiące ludzi wybornym koncertem. To dwoistość wyjaśni nam dlaczego muzyk miesiącami błądzący, niepewny własnej wartości, nagle wydaje płytę, która ukazuje go jako artystę konkretnego, odważnego, pomysłowego i doskonale wiedzącego, co chce osiągnąć. Wreszcie dwoistość odpowie nam na pytanie, jak to się dzieje, że w jednym twórcy kryje się miłość do muzyki egzotycznej (niemającej nic wspólnego z europejską cywilizacją) oraz bardzo głębokie, wnikliwe zainteresowanie najnowocześniejszą techniką (niemającą nic wspólnego z egzotycznymi kulturami). Ktoś powie „brak logiki”, ktoś inny rzuci „niekonsekwencja”, ale obie te oceny będą błędne i krzywdzące. Peter Gabriel, jeden z najbardziej nieodgadnionych artystów muzyki popularnej, jest twórczo dwoisty. Tylko sobie znanymi sposobami potrafi połączyć elementy dla innych na pierwszy rzut oka niepasujące do siebie i zbudować z nich coś zupełnie nowego i nieoczekiwanego.

Gabriel nie przepada za jednoznacznym określaniem go mianem „muzyka”. Godzi się na to, ale gdy tylko ma okazję mówi: *To fakt, jestem muzykiem, mam tak napisane w dokumentach,*

ale czuję się przede wszystkim humanistą i humanitarystą. No tak, ale nie ma takiego zawodu, nie ma takiej funkcji w społeczeństwie, nikt nikomu za bycie humanistą nie będzie płacił i nie umożliwi zrobienia kariery. Ten humanizm trzeba jakoś dookreślić, trzeba mu nadać sprecyzowanych kształtów, albo... chociażby udźwiękować. Peter swoją troskę o człowieka właśnie udźwiękował wchodząc w świat muzyki popularnej, platformę dla humanizmu, powiedzmy szczerze, niezbyt wdzięczną. Bo choć piosenki pop często traktują o „miłości”, człowieczeństwa jest w nich zwykle niewiele. Gabriel więc od samego startu dla muzycznej sceny był „inny”, jego podejście łamało pewne zwyczaje, ale i to wykorzystał ostatecznie na swoją korzyść, gdyż jeśli ma się odpowiednią determinację, z bycia „innym” także można uczynić bardzo silny atut.

Nie zamierzam walczyć z dwoistością i nieokreślonym fenomenem Petera. Popęłniłbym olbrzymi błąd, gdybym uparcie próbował znaleźć dla niego szufladkę, gdyż nie sposób rozpisać matematycznego wzoru na Gabriela, a nieudolnie próbując, można łatwo strzelić sobie we własną stopę. Jako, że „Świat sekretny, świat realny” nie jest pracą, której główny cel stanowi rozrysowanie szkicu charakterologiczno – psychologicznego, ale rzetelne i możliwie obiektywne opisanie życia i twórczości artysty, pozostawienie Czytelnika z pytaniem „silny czy słaby?”, ujdzie mi pewnie na sucho. Nie na wszystkie pytania można znaleźć odpowiedź, ale wstępy książek mają swoje obowiązki i bardzo bym żałował, gdyby we wstępie nie udało mi się rzucić choćby odrobiny światła na mroki spowijające tę historię już u jej zarania. Zapomnijmy więc na chwilę o szufladkach, zapomnijmy o siłach i słabościach, o gatunkach muzycznych, listach przebojów, rankingach sprzedaży, zwyczajach, rytuałach i wyobraźmy sobie człowieka ponowoczesnego, który już w genach otrzymuje potencjał, aby połączyć artystyczną wrażliwość (po matce) z precyzją techniki (po ojcu). Wyobraźmy też sobie cały bagaż angielskich zwyczajów, konserwatywnych praw i obowiązków, niemalże „chrześcijańską pokorę” włożoną do szkolnego plecaka, i to wszystko zaraz później skonfrontujmy z buntowniczym nastawieniem, ciekawością świata i otwartością na niego. Tak widzę czarno – biały szkic młodego Petera. To zapewne te elementy nakreśliły maszynę jego zmagania, nakreśliły kurs jego drogi od tego, co zastane, do tego, co pożądane. „Zmagania” to drugie słowo po „dwoistości”, które pasuje mi jako gabrielowy drogowskaz, bo jego droga muzyczna, to droga zmagania, walki z ograniczeniami, stereotypami, a droga życiowa to wieloletnie zapasy z własnymi słabościami i „strachami”. Obie te walki zostały wygrane.

„Mam swoje strachy, ale one nie mają mnie”

Peter Gabriel „Darkness”

Podmiejska sielanka, szkolna trauma

Peter Brian Gabriel, pierwsze z dwojga dzieci Irene i Ralpa, urodził się w Woking 13 lutego 1950 roku o godzinie 16:30. Jego ojciec Ralph pochodził z szanowanej rodziny wyższej klasy średniej, w której przywiązywano dużą wagę do tradycji, pamięci i szacunku dla dokonań przodków. Mieli o czym pamiętać. Brzmienie nazwiska Gabriel sugeruje, że jego korzenie pochodzą z Hiszpanii. Pojawiły się niepotwierdzone jak dotąd teorie, jakoby losy tej brytyjskiej rodziny zapoczątkowała klęska hiszpańskiej Wielkiej Armady z 1588 roku. Według

tej teorii pierwszy Gabriel miał być jednym z ocalonych rozbitków słynnej, pokonanej latynoskiej floty. To jednak tylko domysły niepoparte żadnymi dokumentami. Natomiast istnienie i sukcesy sir Thomasa Gabriela są już udokumentowane stosownymi adnotacjami. Słynny „pradziad” Petera przez rok 1866 pełnił funkcję tak zwanego Lorda Majora Londynu, był więc kimś w rodzaju burmistrza miasta, najwyższego urzędnika władz miejskich. Gabrielowie już w tamtym czasie byli rodziną dobrze sytuowaną. Głównym źródłem niemałych dochodów była prężnie działająca i rozwijająca się firma Gabriel, Wade and English, zajmująca się handlem i importem drewna. Założył ją w XVII wieku Christopher Gabriel, a czasy jej świetności przypadły na wiek XIX. Pragnąca nieustannego rozwoju rodzina chętnie inwestowała zarobione pieniądze w edukację, dlatego też zarówno dziadek, jak i ojciec Petera odebrali staranne wykształcenie w renomowanej szkole Charterhouse – placówce, która w drugiej połowie XX wieku przejdzie do historii jako kolebka zespołu Genesis.

Podstawowa wiedza o historii rodziny każe sądzić, że Gabrielowie mieli przede wszystkim żyłkę do interesów i zarządzania, jednak Ralph, ojciec Petera wyłamał się nieco z tej konwencji. Choć opiekował się posiadłością swojego ojca i tak jak on edukował się w prywatnej szkole dla chłopców, odważnie wprowadził do swojego życia i życia swojej rodziny nowe elementy, postawy i poglądy. Był człowiekiem wielu zainteresowań i talentów, niewątpliwie posiadał potencjał zbliżony do swoich najśłynniejszych przodków. Z jednej strony pokornie poddawał się tradycjom, ale z drugiej nie powstrzymywał się przed poznawaniem świata i zgłębianiem tajników nowinek technicznych. Miał otwarty umysł, co owocowało zarówno szacunkiem dla egzotycznych kultur dalekiego wschodu, jak i zmysłem odkrywczym. Po ukończeniu Charterhouse studiował na Uniwersytecie Londyńskim, gdzie zapracował na tytuł inżyniera elektryka. Uwielbiał dłużyć przy różnych urządzeniach i majsterkować, i robił to na tyle efektywnie, że śmiało można nazywać go wynalazcą. Pracował jako główny inżynier w firmie Radiffusion, w okresie gdy zrewolucjonizowała ona rynek brytyjskich mediów. Przyczynił się tym samym do powstania pierwszej telewizji kablowej, skonstruowanej dzięki systemowi światłowodów „Dial a Program”. W latach czterdziestych przyłożył też rękę do udoskonaleń symulatorów lotu. Nie należał jednak do tytanów pracy. Starał się znajdować czas dla rodziny, w swoje majsterkowanie próbował angażować Petera, a po przyjeździe po pracy do domu po prostu musiał znaleźć czas na regularne ćwiczenia jogi. *Mój ojciec różnił się nieco od reszty swojej rodziny, był bardziej myślicielem, skłaniał się ku nauce i kontemplacji – opowiadał Peter. – Jest nieco zamknięty w sobie, nieśmiały. Potrafił wrócić do domu po pracy i pierwszą rzeczą jaką robił, to stawał na głowie w ogrodzie i ćwiczył jogę.*

Jeśli Ralph należał raczej do osób spokojnych i nieśmiałych, tak jego żona Irene stanowiła w pewnym sensie jego przeciwieństwo, a już na pewno solidną przeciwwagę. To z jej rodzinnych genów Peter dostał potężny zastrzyk muzycznych inklinacji. Pani Gabriel wywodziła się z dużej, muzykalnej rodziny uwielbiającej lekcje fortepianu, wspólne śpiewy i występy. *To taka wiktoriańska rodzina, gdzie było pięć córek, każda śpiewała i grała na innym instrumencie. Mogli więc organizować wieczorki muzyczne.* Wszystko zaczęło się od babci Petera, podobno znakomitej pianistki obdarzonej doskonałym słuchem i wyczuciem

tonacji. Jej szczytowym osiągnięciem okazały się występy w orkiestrze pod batutą Henry'ego J. Wooda, podczas słynnych koncertów „Promenade” pod koniec XIX wieku. Tamte imprezy przeszły do historii z powodu swojej nietypowej konwencji. Inicjatorem pomysłu był niejaki Robert Newman, biznesmen i impresario, który wpadł na pomysł organizacji koncertów w parkach, na świeżym powietrzu¹. Cel stanowiło zainteresowanie muzyką poważną ludzi na co dzień nieprzejawiających tego typu zainteresowań. Koncerty „Promenade” odbywają się do dziś.

W ślady babci Petera poszły wszystkie jej córki, łącznie z Irene. Dwie z nich studiowały nawet grę na instrumentach w Muzycznej Akademii Królewskiej. Nie może więc dziwić fakt, że dom rodziny Gabriel od samego początku otwarty był na muzykę i niemalże tętnił od dźwięków. Regularnie odbywały się tam „wieczorki muzyczne”, a w każde święta fortepian otaczał wianuszek śpiewających pań. Z resztą w inne dni instrument też rzadko był pozostawiany na pastwę kurzu.

Trudno nie zauważyć, że Peter w dorosłym życiu cechował się zaletami, talentami, ale także słabościami obojga swoich rodziców. To zadziwiające z jaką skrupulatnością połączył w jedną całość cechy, zainteresowania i temperamenty Irene i Ralpa. Po ojcu odziedziczył otwartość umysłu, słabość do nowinek technicznych, ale i skrytość duszy, nieśmiałość. Po mamie fascynacje muzyczne, „fortepianowe palce” i, kłójące się nieco z ojcowską nieśmiałością, predyspozycje do występów przed ludźmi. *Ojciec stanowił dla mnie wspaniałą inspirację, dużo czasu spędzał w swojej pracowni budując różne rzeczy praktycznie z niczego. To bardzo kreatywny umysł. Także muzyczne próby mojej mamy działały na moją podświadomość – przyznawał Peter. Znakomite znaczenie w jego wypowiedzi ma słowo „podświadomość”, bo żadnej z tych cech nie wszczepiono mu na siłę. Na szczęście nie udało się bezproblemowo „zaprogramować” go w okresie wczesnego dzieciństwa całym maratonem zajęć hobbystycznych i lekcji. W tamtym czasie normą dla rodzin wyższej klasy średniej było skrupulatne gospodarowanie wolnego czasu nawet małym dzieciom, dlatego Peter już jako kilkulatek uczęszczał na lekcje gry na fortepianie, tańca i na jazdę konną. Jeździectwo porzucił bardzo szybko, mimo że było to drugie wielkie hobby jego mamy. Z fortepianem „walczył” do dziewiątego roku życia i dopiero wtedy powiedział „basta!”. Już jako chłopiec potrafił być stanowczy i gdy stwierdził, że ma dosyć klawiszowej musztry, rodzice nie próbowali protestować. *Miałem tyle lekcji, że w pewnym momencie musiałem zrobić małą rewolucję – wspomina. – Powiedziałem: dosyć ćwiczeń! Nie chciałem uczyć się gry na pianinie tylko dlatego, że cała rodzina mojej mamy się tego uczyła. Przerwałem to i zacząłem oglądać telewizję! Rodzice powiedzieli: „jeszcze wrócisz do tego, kiedy będziesz starszy”. No i mieli rację.**

Stwierdzenie, że zamienił lekcje fortepianu na seanse telewizyjne byłoby uproszczeniem sprawy. Peter, jak przystało na zdrowego, pomysłowego, ciekawego świata chłopca, swój wolny czas poświęcał na podwórkowe przygody. Siedziba Gabrielów mieściła się w Chobham, w imponującej, choć niewielkiej posiadłości zwanej Deep Pool, na którą składał

¹ Stąd też nazwy. „Promenade” z francuskiego „spacer”. Angielski skrót „The Proms” oznacza po prostu koncerty na świeżym powietrzu.

się duży dom i farma. Przestrzeni do biegania i zakamarków sprzyjających przygodom miał więc pod dostatkiem. Chobham to wieś w hrabstwie Surrey, na tyle blisko Londynu, by jej mieszkańcy nie mogli narzekać na brak kontaktu z cywilizacją, ale z drugiej strony na tyle oddzieloną od świata, by stanowić wyzwanie dla młodego umysłu łaknącego przygód. Mały Peter chętnie korzystał z możliwości, jakie daje dzieciństwo spędzane na wsi. Z zaangażowaniem doświadczonego badacza i poszukiwacza poznawał okolice. Szczególnie działała na jego wyobraźnię rzeka Bourne, z której nurtem lubił igrzać, próbując go nawet okiełznać. *Moją ulubioną samotną zabawą było budowanie tam na rzece i rozpalanie na nich ognisk – wspominał. – Siadałem wówczas i cierpliwie czekałem aż poziom wody podniesie się na tyle, żeby ponieść ognisko i przelać tamę.*

Już jako dziecko przejawiał duże zainteresowanie światem i szybko odkrywał potężne możliwości wyobraźni. Choć miał młodszą siostrę² i twierdził, że odnajdywanie się w grupach rówieśniczych nie sprawiało mu większych trudności, dużo czasu spędzał samotnie. Nie narzekał na brak pomysłów, umiejętnie i ciekawie gospodarował własnym czasem, potrafił i lubił być sam ze sobą. To właśnie w tamtym okresie po raz pierwszy pozwolił rozwinąć skrzydła własnej wyobraźni; wyobraźni, która w przyszłości miała otworzyć mu drogę do olbrzymich sukcesów.

Buszowanie po farmie Deep Pool rzecz jasna nie stanowiło jedyne zajęcia małego Petera. Jego droga edukacyjna została zaplanowana na pierwszy rzut oka rozmyślnie, jako powolne, regularne wypuszczanie na coraz głębszą wodę. Chłopiec uczęszczał na początku do oddalonego zaledwie o 200 jardów od domu przedszkola, później przeniósł się do podstawówki w oddalonym o kilka kilometrów Woking. Jak spory odsetek ludzi o nieprzeciętnych talentach i możliwościach, nie należał do najpilniejszych uczniów. Trudno nazwać go również typowym angielskim chłopcem uganiającym się za piłką. *Sądzę, że nigdy nie miałem problemu z nawiązywaniem kontaktów z innymi dziećmi – zapewniał. – Nie należałem jednak do typu macho, nie przypominałem tych wszystkich wysportowanych chłopców. Preferowałem raczej zabawy typu „doktor i pacjentka” z dziewczynkami w ukryciu za klombem, niż gry typu kowboje i Indianie. Moje życie seksualne było bardzo liberalne już między czwartym, a siódmym rokiem życia. I tak naprawdę chyba nigdy z tego nie wyrosłem. Moja aktywność „za klombami” wzrosła właśnie w czasie szkoły podstawowej.*

Mimo to, w późniejszym okresie przyznawał, że był raczej samotnym dzieckiem, a przyczyn tego faktu upatrywał w swojej niechęci do rywalizacji: *Chłopięcy liderzy to zwykle jednostki bardzo wysportowane, albo dobre w bójkach, a ja czułem, że nie jestem w stanie w tych sferach rywalizować i w rezultacie kierowałem się w stronę przestrzeni, w której nie musiałem z nikim walczyć. U osób samotnych lepiej wykształcają się zainteresowania. W dzieciństwie nienawidziłem presji grup rówieśniczych. Nie cierpiałem też tego przymusu, żeby pić alkohol, albo palić papierosy tylko po to, aby pokazać, że jestem „gość”. Nigdy nie należałem więc do tak zwanej „grupy liderów”. Wtedy jednak zdałem sobie sprawę, że aby nie być terroryzowany przez inne dzieci muszę uparcie, zdecydowanie demonstrować swoją niechęć do bycia w „grupie liderów”. Ta przekora będzie mu towarzyszyć także w dorosłym życiu.*

² Anna urodziła się w grudniu 1952 roku.

Początek końca podmiejskiej sielanki rozpoczął się dla niego w 1962 roku, kiedy to został zapisany do szkoły St. Andrews, w której spędzał dni powszednie, by tylko na weekendy przyjeżdżać do Deep Pool. *Zostałem tam wysłany na ostatni rok szkoły podstawowej, co stanowiło odpowiednio spokojną formę przemiany, jaka miała nastąpić. Mogłem wówczas kursować między szkołą a domem, do którego zjeżdżałem na weekendy.* Ten zabieg miał zapewnić przetarcie przed rozpoczęciem edukacji w Charterhouse – słynnej, renomowanej szkole z internatem, dobrze wspominatej zarówno przez dziadka, jak i ojca Petera. Niestety nikt nie mógł przewidzieć, że ulepiony już z nieco innej gliny, wrażliwszy Gabriel junior przeżyje prawdziwy szok, dostając się w tryby wielopokoleniowej, staroangielskiej maszyny edukacyjnej. Żadne przetarcie, stopniowanie napięcia i wrażeń nie mogło go przygotować na pierwsze arcytrudne miesiące w nowej rzeczywistości.

O Charterhouse, historii tej szkoły, jej tradycji, założeniach i osiągnięciach absolwentów można by napisać osobną książkę, a może nawet i dwie – jedną pochwalającą, skupioną na zaletach i sukcesach, drugą skrajnie inną, negatywną. W biografii Petera Gabriela jest to miejsce o tyle ważne, że bez choćby kilku akapitów rzucających odrobinę światła na fenomen Charterhouse nie może się obejść.

Inicjatorem, choć bez wpływu na konkretny kształt szkoły, był sir Thomas Sutton, żyjący na przełomie XVI i XVII wieku urzędnik i „biznesmen”. W tamtych czasach określenie „biznesmen” raczej nie funkcjonowało, jednak znając dzisiejsze jego zastosowanie można przyjąć, że dosyć dobrze oddaje ono szeroki zakres ówczesnych działań Suttona. Sir Thomas zajmował się wieloma rzeczami, pełnił różne funkcje urzędowe, ale wielkiego majątku dorobił się dzięki odkryciu węgla w okolicach Newcastle. Gdy umierał w 1611 roku należał do grona najbogatszych Anglików. Część swoich pieniędzy kazał przeznaczyć na zbudowanie kompleksu pod szyldem The Hospital of King James and Thomas Sutton. W pierwotnym zamysle szkoła miała stanowić tylko fragment zainteresowań projektu, na który składał się, jak sama nazwa wskazuje, także szpital połączony z domem opieki dla osób starszych. Z biegiem czasu plany te jednak zredukowano i gdy firmę przenoszono w 1872 roku do pięknego, olbrzymiego ośrodka niedaleko Godalming, prywatna szkoła dla chłopców stała się tam główną inicjatywą.

Charterhouse to niewątpliwie ścisła edukacyjna czołówka Wielkiej Brytanii. Najlepszy sztab wykładowców, wielowiekowa tradycja, sprawdzone w bojach mechanizmy szkolenia, nauczania i wychowywania. Długa lista sukcesów i znakomitych wychowanków. Historia i dokonania przed którymi na pewno trzeba uchylić kapelusza. W Anglii jest raptem kilka szkół hurtowo i konsekwentnie, przez wiele stuleci, wychowujących wybitnych fachowców z różnych dziedzin. Charterhouse zdecydowanie należy do tej elity. Lista wybitnych ludzi, których ścieżka edukacyjna przebiegała przez tę szkołę może przyprawić o zawrót głowy. Biskupi, teologowie, naukowcy, politycy, prawnicy, pisarze, poeci i wielu, wielu innych, a wśród nich m.in. John Wesley³, baron Robert Baden-Powell⁴, czy Peter Yates⁵. „Bóg dał, ja

³ Teolog, który wraz z bratem stworzył kościół metodystów w XVIII wieku.

⁴ Pisarz, twórca skautingu.

⁵ Reżyser kilkakrotnie nominowany do Oscara, znany przede wszystkim z obrazów „Bullit” (1968) i „Głębina” (1977).

dają” głosi motto szkoły, która dała Anglii całą „armię” znakomitych absolwentów, gotowych by podbijać świat.

Problemem szkoły była jednak jej hermetyczność, ciężki, głęboki konserwatyzm ocierający się o szkodliwą skostniałość. W Charterhouse czas zawsze płynął odrobinę wolniej, a sztab zarządzający z dużą nieufnością podchodził do wszelkich nowinek ze świata. Skoro historia i przeszłość należały do nich, chcąc w podobnym, sprawdzonym stylu kształtować też przyszłość, bronili szkołę przed zmianami i rewolucjami. Konsekwentnie odnosili więc podobne sukcesy, ale też powielali własne błędy, a tych przecież również nie brakowało, o czym świadczą choćby filmy i książki opowiadające o życiu w tego typu prywatnych, renomowanych placówkach⁶. Realia tamtych miejsc przywodzą na myśl rodzaj „intelektualnego wojska” nastawionego na masowe wychowywanie w ściśle określonym nurcie, z bezwzględnym przestrzeganiem zasad. Siłą rzeczy gubiła się w tym zawsze jednostka. Żaden uczeń przewyższający rówieśników stopniem wrażliwości, czy z innych powodów potrzebujący podejścia indywidualnego, nie mógł czuć się tam dobrze.

Straszne było też tak zwane „drugie życie” szkoły, niepisane prawa obowiązujące uczniów i ustalające między nimi wewnętrzną hierarchię. Pod okiem nauczycieli i za ich przyzwoleniem działały się tam rzeczy delikatnie mówiąc nieprzyjemne. Każdy nowy trzynastolatek musiał przebrnąć przez okres inicjacji, podczas którego miał obowiązek usługiwać starszym uczniom. Do jego obowiązków należał cały wianuszek różnorodnych czynności, od normalniejszych, jak przygotowywanie śniadań i ścielenie łóżek, po te bardziej uwłaczające, jak czyszczenie butów, czy absurdalne rozgrzewanie... deski sedesowej (sic!). Oczywiście nie brakowało w tym wszystkim także najwykleszych w świecie aktów przemocy, bicia, obrażania i poniżania. Celowali w tym przede wszystkim uczniowie starsi, ci którzy najlepiej odnaleźli się w realiach szkoły i dzięki temu mieli różne przywileje nadane przez dyrekcję. Dla wrażliwszych chłopców, cechujących się słabszą konstrukcją psychofizyczną, pierwsze lata w Charterhouse często były koszmarem.

W tym momencie warto na moment oddać głos fikcyjnemu dyrektorowi elitarnej szkoły dla chłopców, o której losach opowiada film „Jeżeli” Lindsaya Andersona z 1968 roku, podobno bardzo wiernie oddający realia tego typu placówek. Ten dłuższy monolog ciekawie naświetla kierunek myślowy zarządców. *Szkoła to obraz wielu rzeczy: koleżeństwa, uczciwości w służbie publicznej, wysokich standardów w telewizji i rozrywce, ofiarności w toczonych wojnach. Niektóre z naszych obyczajów są bzdurne, na poziomie klasy średniej, ale duża część społeczeństwa dąży do tego poziomu, a bez wartości moralnych klasy średniej ten kraj nie przetrwa. Nie oczekujemy wdzięczności. Brytyjska edukacja jest jak Kopciuszek na wydaniu, biednie odziana i często poszturchiwana. Dzisiejsza Brytania to kuźnia pomysłów, eksperymentów i wyobraźni. Od muzyki po hodowlę świń, od elektrowni jądrowych po mini spódniczki. Stoimy przed wielkim wyzwaniem. Są w tej szkole chłopcy o twórczych umysłach i wielkiej wyobraźni. Dla nich warto pracować. Dzięki nim szkoła tętni życiem.*

⁶ Trzy najbardziej znane to: film „If” („Jeżeli”) Lindsaya Andersona (1968), książka Thomasa Hughesa „Tom Brown’s Schooldays” (1857), która doczekała aż czterech ekranizacji, i autobiografia Roberta Gravesa „Goodbye to All That” (w Polsce wydana w 1991 roku nakładem Książki i Wiedzy pod tytułem „Wszystkiemu do widzenia”).

W przypadku Charterhouse na dźwięk słów „biednie odziany Kopciuszek” można się tylko kpiąco uśmiechnąć, gdyż szkoła umiejscowiona w efektywnym, rozłożystym „pałacu” pośrodku olbrzymiej posiadłości, przypomina raczej piękną, leciwą, ale klasyczną królową, niż ubogiego Kopciuszka. Już same tereny przylegające robią nieprawdopodobne wrażenie. 270 tysięcy metrów kwadratowych, kilka połączonych ze sobą staroangielskich budynków, boiska, przestrzeń sportowa, równo przystrzyżone trawniki i żywopłoty. I ten wszędobylski klimat brytyjskiej, skrupulatnej elegancji. Imponujące miejsce. Wracając do wypowiedzi fikcyjnego dyrektora – reszta jego słów ciekawie obrazuje zarówno dużą świadomość szkolnych rajców, jak i zarazem dziwną „ślepotę”. Doskonale zdawali sobie oni sprawę, że część zwyczajów szkoły jest niemądra, ale żyli w przekonaniu, że nawet te najgłupsze obowiązki, inicjacje i rytuały są młodym ludziom do czegoś potrzebne. Chwalić należy ich chęć podnoszenia jakości społeczeństwa, wiarę w możliwości uczniów, ale brak umiejętności przewidywania zmian w świecie już na pochwały nie zasługuje. To dziwne, że mogli zdawać sobie sprawę z szerokich uzdolnień własnych podopiecznych, ale większość z nich nie była w stanie przewidzieć, że muzyka pop, której tak bardzo się obawiali, może – między innymi dzięki ich uczniom – zyskać na artystycznej jakości.

Dopóki świat zmieniał się powoli szkoły typu Charterhouse nie miały większych problemów z utrzymaniem równowagi między własnym, założycielskim konserwatyzmem, a powolnym, ostrożnym posuwaniem się za nowinkami. Jednak świat po wojennym okresie pierwszej połowy XX wieku zaczął transformować szybciej, czego najwyraźniejszym przejawem była rewolucja kulturowo – światopoglądowa lat sześćdziesiątych. To wówczas Charterhouse najmocniej rozjechała się z regułami panującymi w świecie zewnętrznym. Gdy szkoła nadal w starym angielskim stylu przygotowywała podopiecznych do sprawnego funkcjonowania w życiowej dżungli i robienia kariery, całe masy młodzieży opowiedziały się za nurtem całkowicie przeciwnym. Pierwsze powojenne pokolenie wpływowych mas amerykańskich i brytyjskich przestało zastanawiać się nad tym jak wygrywać wojny, a zaczęło myśleć jak sprawić, aby tych wojen w ogóle nie było. Stało się też w zdecydowanej opozycji do postaw swoich własnych rodziców, nastawionych przede wszystkim na pomnażanie majątków. Młodzi woleli teraz „być”, niż „mieć”, rozwijać się duchowo, raczej bawić się niż pracować, a zastane prawa łamać, lub naginać, częściej niż ich przestrzegać. To była skrajna opozycja dla reguł od wieków panujących w szkołach typu Charterhouse.

Peter Gabriel przybył do szkoły we wrześniu 1963 roku jako trzynastolatek, trafiając na czas najwyraźniejszego rozstępu między szkołą, a światem zewnętrznym. Gdy Anglia już powoli bujała się w rytm pierwszych przebojów The Beatles i szykowała na swingująco – psychodeliczną dekadę, on musiał przywdziać sztywny mundurek, zapiąć guziki pod samą szyję i mocno zacisnąć zęby. Peter należał do grupy tych chłopców, dla których pierwszy okres w Charterhouse stanowił koszmar. *To było jak komunikat: „Witamy w szkole szybkiego dojrzewania!”* – wspominał pierwsze dni w nowym miejscu. – *Już samo wejście do Charterhouse było traumatyczne. Pamiętam pierwszą noc. Nie mieliśmy zastan w oknach, było bardzo ponuro i zimno. Wcześniej żyłem na wsi i w nocy zawsze miałem ciszę i spokój, a tam była wielka sala podzielona na małe pokoiki. Przez okna wpadały światła przejeżdżających w oddali samochodów, tekturowe ścianki nie izolowały i wszystko było przez*

nie słycać. Rozmowy, jakieś dziwne dźwięki. Podczas pierwszych nocy wielu chłopców płakało, inni onanizowali się, a jeszcze inni onanizowali się płacząc. Wszyscy sprawiali wrażenie bardzo nieszczęśliwych. Z kolei starsi chłopcy prowadzili długonocne rozmowy. Próbując sobie nawzajem zaimponować, opowiadali niestworzone historie o samochodach i dziewczynach.

Dla Petera była to zupełnie nowa, nienaturalna i niesprzyjająca sytuacja. Dla chłopca wychowującego się w kochającej rodzinie, o mimo wszystko dosyć liberalnych inklinacjach, odnalezienie się w tego typu reżimie stanowiło olbrzymi wysiłek. Wcześniej, gdy tylko miał ochotę na samotną przygodę, mógł wyjść z domu i bez trudu ją sobie zorganizować, angażując własną wyobraźnię i pomysłowość. Tutaj nie miał szans na żadną samotność, a wyobraźnię bez ryzyka mógł wystać na długie wakacje, gdyż indywidualne myślenie, szczególnie w początkowym okresie było niepotrzebne, a wręcz niemile widziane. No i wreszcie kwestia dziewcząt, tak ważna w okresie dojrzewania. Peter, który przecież już w dzieciństwie nie miał większych problemów z płcią przeciwną, na kilka lat mógł zapomnieć o regularnych kontaktach z dziewczynami, wszak Charterhouse jest szkołą wyłącznie dla chłopców. Ten nowy, wrogi świat fatalnie wpływał na samopoczucie chłopca. *Nienawidziłem tej szkoły – stwierdził bez ogródek. – To był zły czas. Myślę, że byłem bardzo czuły w tamtym okresie i wszystko stanowiło olbrzymi problem, od razu stawało się dramatem. Wiele nocy spędziłem na nieskutecznych próbach zaśnięcia.*

Jego typowo brytyjskie usposobienie nie ułatwiało mu zadania. Z jednej strony cechowała go olbrzymia wrażliwość, co sprawiało, że mocno przeżywał nowe okoliczności. Z drugiej strony, był ambitny i zamknięty w sobie, przez co nigdy nie pozwolił sobie na chwilę słabości, nie żalił się i nawet nie próbował zmienić szkoły. Zaciśnął zęby i postanowił, że sobie poradzi. Przez Charterhouse miał ostatecznie przejść bez większego szwanku na zdrowiu fizycznym i psychicznym, ale nigdy nie wyzbył się sarkazmu i bardzo krytycznego podejścia do swojej szkoły. Długo po opuszczeniu jej murów zwykł złośliwie żartować: *Mawiają, że łatwo jest odróżnić w ciężkim więzieniu wychowanka szkoły prywatnej od innych skazańców, bo on jeden czuje się tam jak ryba w wodzie.*

Najgorsze były pierwsze miesiące, później sytuacja pomalutku zaczęła się poprawiać. *Przez cały pierwszy rok czułem się kiepsko – opowiadał. – Szczególnie irytujące były te wszystkie chore zwyczaje, przywileje starszych chłopców, którzy mogli zmuszać młodszych do wykonywania codziennych obowiązków, jak czyszczenie im butów i tym podobnych. To było szaleństwo.* Czas jednak płynął i okres inicjacji, „płacenia frycowego” szybko przeminął. To oczywiście nie rozwiązywało wszystkich problemów, ale na pewno ułatwiało po części funkcjonowanie w trudnej szkole.

Peter nie miał predyspozycji do bycia typowym wychowankiem Charterhouse, szkoły trenującej młodych ludzi na przyszłych zwycięzców. Nie był specjalnie wysportowany, a przy swojej nieśmiałości i skrytości nie należał też do osób wybitnie przebojowych i odważnych. Uczył się jednak solidnie, nie unikał kółek zainteresowań i z całych sił starał się walczyć ze słabostkami. Większość czasu chłopcy poświęcali oczywiście nauce, a czas wolny mogli

zagospodarować głównie na dwa sposoby. Po pierwsze zajęciami sportowymi, po drugie muzyką. Tu dla Petera wybór był bardzo prosty.

Mimo buntu przeciw lekcjom fortepianu w wieku dziewięciu lat, nigdy nie porzucił muzyki. Zrezygnował tylko z obcowania z nią na siłę, niekoniecznie w takiej formie, na jaką miał ochotę. Tuż po vecie dla czarno – białych klawiszy, odkrył w sobie miłość do perkusji. Swoją pierwszy zestaw perkusyjny zaczął budować prawdopodobnie gdy miał dziesięć – jedenaście lat i kiedy wyjeżdżał do Charterhouse instrument miał skompletowany. *Moim pierwszym instrumentem był tom-tom odkupiony od brata kolegi – wspominał. – To był początek, a ten pojedynczy bęben szybko rozrósł się w cały zestaw. Miałem chyba osiem bębnów, gdy szedłem do szkoły. Już wtedy kochałem rytm.* Długo jednak targały nim różne wątpliwości. Świat muzyki to przyciągał go do siebie, to znów jakieś wydarzenie odciągało jego uwagę. Do śpiewu w chórze zniechęcił go kuzyn, który przekonywał, że to zbyt pracochłonne zajęcie. Z nauki gry na oboju zrezygnował sam poddając się myśli, że nie ma ku temu predyspozycji. Mimo to, w szkolnym „piekiełku” Charterhouse, muzyka wyrosła na najciekawszą przeciwwagę i odskocznnię od przykrew codziennosci. Peter nie namyślając się zbyt długo, wstąpił do swojego pierwszego zespołu, złożonego z młodych amatorów o jazzowych ambicjach: *W szkole zacząłem grać na perkusji w zespole jazzowym The Milords. Byli fatalni. Miałem mnóstwo entuzjazmu, ale nie nazwałabym siebie dobrym perkusistą. Całe szczęście, że siedziałem z tyłu, za plecami innych muzyków.*

Tak czy inaczej, pierwsze poważne próby i występy przed publicznością zostały zaliczone, i nawet jeśli ich jakość nie należała do najwyższych, stanowiło to pewne przetarcie. The Milords mogli być fatalni, Peter mógł być wówczas słabym perkusistą, ale to i tak nie miało większego znaczenia, bo jego muzyczna przyszłość wiązała się z innymi ludźmi i inną funkcją. W tym samym czasie co Gabriel, do Charterhouse przybył jego rówieśnik, młodszy zaledwie o półtora miesiąca Anthony Banks. Młodzieniec równie wrażliwy i utalentowany, ale chyba jeszcze bardziej skryty. Chłopcy wyczuli się w „armii” uczniów, tak jak wyczuwają się reprezentanci wyjątkowych, ginących gatunków, wśród całej masy typowych przedstawicieli fauny i flory. Jakkolwiek traumatyczne były dla nich pierwsze miesiące w Charterhouse, wzajemne wsparcie, którego sobie udzielali, pomogło im nie tylko przetrwać, ale nawet wypracować w obrębie niesprzyjającego środowiska bezpieczną niszę. Tą niszą była muzyka.

Tony był spięty – charakteryzuje przyjaciela Peter. *– Ja miałem bardzo trudny okres aklimatyzacji, ale on miał chyba jeszcze trudniejszy. Co mnie skierowało do niego? To mogła być tylko desperacja!* – kwitował ze śmiechem. Banks bardzo dobrze zapamiętał okoliczności zapoznania. *Poznałem Petera pierwszego dnia pobytu w Charterhouse zaraz na początku jesiennego semestru w 1963 roku – precyzował po latach klawiszowiec. – Wylądowaliśmy tego samego dnia w tym samym budynku, gdyż nowi chłopcy, zawsze musieli przyjechać do szkoły nieco wcześniej, żeby mieć szansę, aby się wzajemnie poznać i zaaklimatyzować. Pamiętam Petera bardzo wyraźnie. To był pulchny, sympatyczny chłopak. Od razu zostaliśmy przyjaciółmi i trzymaliśmy się razem.*

Połączyło ich podobne usposobienie. Obaj skryci, raczej małomówni i bardzo wrażliwi, musieli znaleźć jakąś bezpieczną przystań dla siebie, gdyż żaden z nich nie należał do grupy młodych, przebojowych „rekinów”. Tą przystanią okazała się muzyka. Tony, tak jak i Peter, miał za sobą fortepianowe lekcje, których ostatecznie przyjął nieco więcej, ale również nie sprawiały mu one satysfakcji. Niemniej jednak z czarnobiałymi klawiszami radził sobie lepiej niż Gabriel. Ten z kolei już wówczas zaczął imponować dobrym głosem i jeśli dochodziło do wspólnego muzykowania coraz częściej śpiewał, kosztem gry na swojej ulubionej perkusji. *Od zawsze wiedziałem, że Peter ma znakomity głos – twierdzi Banks. – Nawet wtedy, gdy był jeszcze bardzo młody, ten głos miał swój charakter.*

W Charterhouse uprawianie i słuchanie muzyki było jak najbardziej mile widziane, ale przede wszystkim jeśli chodziło o jej klasyczną odmianę. Pop i rock and roll już nie mieściły się w granicach zainteresowań szkoły. Wręcz przeciwnie. Traktowano te gatunki jako symbol niebezpiecznej rewolucji i nawet jeśli echa tej nowoczesnej rozrywki przedostawały się przez grube mury Charterhouse, traktowano je jak zło konieczne i próbowano zwalczać. Niepokoje szkoły w dużym stopniu nie były bezpodstawne. Hipisowski przewrót drugiej połowy lat sześćdziesiątych, choć podbudowany szczytnymi celami i pięknymi założeniami, był mocno naiwny i zebrał spore żniwo wśród młodzieży. Drugim obok rocka symbolem tamtych czasów pozostaje LSD, narkotyk odważnie wprowadzony do obiegu, jako odtrutka na „całe zło” tego świata, skrót do duchowego Eldorado. Dziś, gdy przypomnieć sobie pomysły hipisowskich guru, mówiących o wprowadzeniu LSD do miejskich wodociągów, skóra cierpnie niemniej niż na wspomnienie niesławnej wojny wietnamskiej. To właśnie traktowanie LSD jako „codziennej przekąski”, wspartej potężnymi ilościami alkoholu i ogólnym „rozpasaniem”, zaowocowało hurtem przedwczesnych zgonów nie tylko bohaterów muzycznej sceny, ale też wielu anonimowych młodych ludzi. Jimi Hendrix, Brian Jones, Janis Joplin nie dożyli nawet swoich trzydziestych urodzin, ani końca legendarnej dekady⁷. Niektórzy kilka lat wcześniej przewidzieli, że cała hipisowska historia dla wielu może nie skończyć się dobrze. Charterhouse miała swoje problemy i wady, ale ich duża ostrożność w stosunku do rocka i całej jego otoczki miała swoje uzasadnienie.

W szkole oczywiście znajdował się fortepian, który w określonych porach oddawano w ręce chłopców. O dziwo, cieszył się on olbrzymim zainteresowaniem. Chętnych do grania i brzdąkania na nim nigdy nie brakowało, a zwykle bywało ich nawet więcej niż miejsc przy klawiaturze. Peter, który jeszcze cztery lata wcześniej porzucił lekcje gry na korzyść telewizji i zabaw na podwórku, teraz bywał tak zdeterminowany, że aby zająć miejsce przy instrumencie, często uczestniczył w wyścigu z innymi uczniami. Jego determinacja sięgnęła zenitu, kiedy to wynalazł skrót do sali fortepianowej wiodący przez... szyb windowy, służący do przesyłania posiłków. Dzięki niemu często ubiegał konkurentów i zajmował miejsce przy klawiaturze dla Tony'ego. Wówczas chłopcy mogli choć chwilę pomuzykować w duecie. Banks w roli pianisty, Gabriel wokalisty. *On grał lepiej ode mnie* – mówił o Tonym Peter. –

⁷ Dziś z perspektywy lat wygląda to jak okrutne, hurtowe żniwo. Wymienione przeze mnie trio rockowych legend zmarło nagle i przedwcześnie na przestrzeni piętnastu miesięcy między lipcem '69, a październikiem '70. Najstarszy z nich Hendrix miał zaledwie 28 lat. Jones i Joplin po 27.

Właściwie można go było nazywać prawdziwym pianistą, ja wówczas tylko bębniłem w klawisze.

Chłopcy dogadywali i uzupełniali się świetnie, gdyż mieli na tyle podobny gust, żeby móc wspólnie ustalać repertuar, a zarazem na tyle inny, aby wzajemnie się edukować i inspirować. W tamtym czasie lubili przede wszystkim amerykańskie brzmienia spod znaku dwóch kultowych, wiodących wytwórni – Tamla Motown i Stax Records. Rywalizacja tych znakomitych „stajni” muzycznych, fabryk przebojów, w dużym stopniu określała brzmienie pierwszej połowy lat sześćdziesiątych. Rock and roll jeszcze wówczas raczkował, a załączki kulturowo – muzycznego przewrotu dopiero wylęgały się z jazzowo-soulowo-bluesowych dźwięków zza Oceanu. Peter miał wielką słabość do Stax Records, a w szczególności do Otisa Reddinga, którego emocjonalny i ekspresyjny śpiew nie pozostał bez wpływu na późniejszy styl Gabriela. W czołówce jego ulubionych wykonawców znajdowali się też James Brown, John Mayall i oczywiście The Beatles, których ubóstwiał i namiętnie coverował na pianinie Banks. *Oprócz tych wszystkich pierwszych, kreatywnych rockowych grup, jak The Who, The Beatles i The Yardbirds, słuchaliśmy z Tonym rzeczy w stylu Otisa Reddinga, artystów ze Stax, numerów z Tamla Motown, jak na przykład „Reach Out I’ll Be There”, ale też The Beach Boys, okazali się istotni, szczególnie dla Tony’ego.*

Szkolne zakazy tylko podsycaly zainteresowania, a wszelkim muzycznym przygodom dodawały adrenaliny i otoczki niebezpiecznej przygody. Uczniowie Charterhouse nie mogli bez specjalnych przepustek opuszczać terenu szkoły, więc nawet wycieczka do sklepu płytowego stanowiła nie lada wyzwanie. *Tony i ja zwykliśmy chodzić do sklepu „Record Corner” w Godalming – przyznaje Peter. – Zawsze mogliśmy się tam trochę pokręcić i posłuchać płyt z muzyką soul, Otisa Reddinga i Jamesa Browna. Popisywaliśmy się wówczas sporą odwagą, gdyż tego typu eskapady nie były dobrze widziane przez dyrekcję. Gdybyśmy zostali przyłapani czekałaby nas surowa kara.* Gdy po tych ryzykownych eskapadach wracali do szkoły tylko czekali na okazję, aby choć spróbować odtworzyć to, co udało im się usłyszeć w sklepie muzycznym. Jako, że obaj mieli świetny słuch i takąż pamięć, bez większych problemów potrafili odegrać piosenki w stylu „Try A Little Tenderness”.

Peter już wówczas charakteryzował się zadziwiającymi sprzecznościami. Zwykle skryty, nieśmiały, małomówny, co jakiś czas dawał upust rozpierającej energii i uwalniał demony. W szkole znajdowało się jedno jedyne pomieszczenie, gdzie sztywne reguły odrobinę łagodniały. W pokoju „bilardowym”, w czasie wolnym chłopcy mogli sobie trochę pofolgować. Stał tam stary gramofon marki Dansette służący, o dziwo, do odtwarzania także płyt z muzyką młodzieżową. To spod jego igły dobywały się dźwięki piosenek Otisa Reddinga, The Beatles i innych bohaterów pierwszej połowy lat sześćdziesiątych. Zazwyczaj powściągliwy w okazywaniu uczuć Peter lubił w czasie wolnym poszaleć i potaćzyć w rytm swoich ulubionych przebojów. *Pokój „bilardowy” był jedynym miejscem, gdzie mogliśmy puszczać swoją muzykę – wspomina. – Na drewnianej szafce stał stary Dansette. Można go było używać tylko półtorej godziny dziennie. Często zabierałem tam swoje płyty Otisa, odkręcałem głośność na maxa i tańczyłem aż do chwili, kiedy zlewał mnie pot. Przynosiło mi to olbrzymią ulgę.*

Już widok tańczącego zaciekle Petera mógł zaskakiwać jego kolegów, ale ten oczyszczający rytuał z pokoju „bilardowego” stanowił dopiero początek niespodzianek, jakie kryły się w duszy młodego artysty. Gabriel już wtedy sygnalizował swoje „showmańskie” możliwości. W momentach porywu, podczas muzykowania z Tonym, zdarzało mu się wskakiwać na stół i śpiewać, przyjmując pozy największych soulowych mistrzów, a także naśladując ich wokalne maniery. Skrępowana brytyjskim wychowaniem osobowość niewątpliwie rwała się w kierunku otwartości i demonstracji uczuć.

Fortepianowe zabawy i tańce w pokoju „bilardowym” nie stanowiły dla młodego Gabriela jedynych muzycznych inicjatyw. Po krótkiej współpracy z jazzmanami z The Milords, Peter zaczął się w soulowej kapelce Spoken Word. Grupa ta nie wywodziła się z Charterhouse, ich próby odbywały się w domu jednego z muzyków, więc Gabriel miał okazję raz na jakiś czas wyrwać się choć na chwilę ze szkolnych „koszarów”. Warto także odnotować, że Spoken Word występował kilkakrotnie na żywo (na potańcówkach) i dokonał amatorskich nagrań, co stanowiło dla Petera pierwsze, jeszcze bardzo nieśmiałe, otarcie się o muzyczny świat. Ciekawostką jest fakt, że w Spoken Word udzielał się także młodzieńki, czternastoletni wówczas, Anthony Phillips, jak miała pokazać przyszłość – pierwszy motor napędowy najwcześniejszego wcielenia Genesis.

Ani „fatalni” The Milords, ani Spoken Word nie spełniali ambicji Petera, który choć jeszcze grał na perkusji, już myślał o pisaniu piosenek, a nawet próbował okazyjnie śpiewać. Coraz poważniej podchodził też do perspektywy kariery muzycznej, ciągle bardzo odległej, ale przecież nie niemożliwej. Upatrywał w niej zwiększenia swoich szans u płci przeciwnej, gdyż po raz pierwszy w życiu dopadło go wówczas zwątpienie we własną urodę. Miał kilka kilo nadwagi i dokuczał mu młodzieńczy trądzik, przechodził więc typowe, chwilowe problemy, które spędzają sen z powiek większości nastolatków. Aura gwiazdy muzyki pop miała stanowić lek na całe zło. Kariera muzyczna tkwiła gdzieś „z tyłu głowy” już od wczesnego dzieciństwa. Jeszcze w czasie szkoły podstawowej Peter wyśnił swoje dwie perspektywiczne życiowe drogi. Przyśniły mu się dwa rozwiązania – mógł zostać piosenkarzem, albo farmerem. *Miałem jedenaście lat, gdy w pewnym sensie otrzymałem do wyboru dwie życiowe drogi – wspomina. – Według jednej z nich wiodłem życie farmera, według drugiej piosenkarza. To było jedno senne marzenie i to dość absurdalne, gdyż w rzeczywistości chciałem zostać perkusistą, a zobaczyłem siebie w roli wokalisty, co mnie zdziwiło. Życiowe drogi farmera i piosenkarza przełożyły mi się na wizję dwóch osobnych ścieżek, z których ta pierwsza była płaska, a druga wiodła w górę. Wówczas obie wydawały mi się pociągające. Jak miała pokazać przyszłość sen okazał się proroczy i z biegiem czasu ścieżka wiodąca w górę zaczęła przeciągać Petera na swoją stronę.*

Jako perkusista nie zabawił długo w Spoken Word. Coraz mocniej wierzył w kompozytorskie zdolności swoje i Tony’ego, dlatego gdy po latach opowiadał o powodach swojego odejścia ze Spoken Word stwierdził, że chciał mieć możliwość wykonywania własnych piosenek. W 1966 roku powstawały one już dosyć szybko i sprawnie. Gabriel i Banks stanowili coraz ciekawszy autorski duet, może jeszcze nie na miarę Lamonta i Doziera, czy Lennona i McCartneya, ale ich pierwsze wspólne dziełka niosły ze sobą pewien potencjał.

Rosła wiara we własne możliwości twórcze, rosło też uczucie więzi z ruchem hipisowskim. Chłopcy z Charterhouse starali się jak mogli, aby zachowywać kontakt ze światem zewnętrznym i doskonale wiedzieli, co dzieje się w Anglii. W kraju wrzało. Hipisi rośli w siłę, rewolucja nacierała z coraz większą mocą. W amerykańskim Woodstock niebawem miał odbyć się najśłynniejszy w historii rocka festiwal, młodzież jednoczyła się dzięki muzyce, a wróg został jasno zdefiniowany. Młodzi nie chcieli wojen, szczególnie tej „wietnamskiej”, nie chcieli „wyścigu szczurów”, pragnęli globalnego przewartościowania, ci ambitniejsi zwrotu w kierunku duchowości, ci mniej ambitni, po prostu dobrej, niczym nieskrępowanej zabawy. Królową tamtych przemian niewątpliwie była sztuka, z silnym akcentem na muzykę popularną, która z jednej strony stanowiła reakcję na to, co już zdążyło się wydarzyć, a z drugiej prowokowała kolejne ruchy. Rok 1967 miał podsumować wydarzenia pierwszej połowy buntowniczej dekady i potężnym ciosem – na który złożyło się m.in. kilka spektakularnych płytowych premier – zdefiniować kierunek muzycznych wydarzeń kilka lat naprzód. The Beatles „Sierżantem Pieprzem” udowadniali wszem i wobec, że muzyka pop nie musi być tylko i wyłącznie chwilową, płytką rozrywką. Jimi Hendrix poruszał do głębi swoją surową, emocjonalną, gitarową płytą „Are You Experienced?”. Siedemnastoletni Peter Gabriel czuł się mocno związany z tymi przemianami i tą nową, wspianiałą, wolną muzyką. *Kiedy usłyszałem „All You Need Is Love” Beatlesów powiedziałem w duchu: „udało nam się!” – przyznaje. – To było naiwne, ale byłem tym wszystkim bardzo podekscytowany. Czuję się częścią tej generacji.* Serce młodego artysty podjęło więc decyzję odnośnie kierunku rozwoju. Ostatnie dwa lata Gabriela w Charterhouse były już dość obficie wypełnione muzyką. W szkole nie brakowało też innych chłopców bardzo zainteresowanych rockiem, zdeterminowanych aby jak najszybciej dostać się do artystycznego świata.

Kolorowe i ekstrawaganckie zwyczaje lat sześćdziesiątych pobudzały wyobraźnię Petera, który zabłysnął odważną pomysłowością rozkręcając krótkotrwałe „biznes”, polegający na handlu staromodnymi kapeluszami i pstrokatymi koszulkami. *Słyszeliście historię peterowych kapeluszy? – pytał z rozbawieniem po latach Anthony Phillips. – Wszyscy znajomi je kupowali. Później zajął się też farbowaniem koszulek. Nasze białe sportowe koszulki zamieniały się hurtowo w turkusowe. „Kolorowy Peter” można powiedzieć. On zawsze miał mnóstwo kreatywnych pomysłów.* O ile farbowanie koszulek było pomysłem ryzykownym, o tyle idea kapeluszy trafiła w swój czas. Młodzi ludzie i wszelkiej maści artyści starali się wówczas wyglądać jak najdziwniej, więc wysokie, „wiktoriańskie” cylindry, wprowadzone na „rynek” przez Gabriela naprawdę miały wzięcie, a symbolem tamtego mini sukcesu, był występ jednego z gabrielowych cylindrów w telewizji... na głowie słynnej Marianne Faithfull. *Kiedy to zobaczyłem, omal nie spadłem z krzesła. Byłem bardzo dumny!* – opowiadał niedoszły „kreator mody”.

Świat zewnętrzny zmieniał się w zawrotnym tempie. Nikt nie chciał tracić czasu. Gros młodzieży pragnęło jak najszybciej „przyłączyć się, najarać i odpaść”, a ci którym dwie ostatnie czynności nie odpowiadały, też nie chcieli rezygnować z „dołączenia”, by choć otrzeć się o atmosferę i wydarzenia dekady. Rock i hipisowskie ideały wlewały się do Charterhouse, jak woda szparami do nieszczelnej kajuty. Wąskimi strużkami, ale jednak. W

szkole pojawiały się pierwsze rock & rollowe kapelki. Dwie z nich u zmięchu lat sześćdziesiątych miały przerodzić się w Genesis.